

ŚWIĘTY TOMASZ MORUS PRAWO WŁADZY A PRAWO SUMIENIA

Świadectwo św. Tomasza Morusa adresowane jest więc nie tylko do tych, którzy chcą być królami ludzkich sumień. Morus obnażał – kto wie, czy nie dotkliwiej – małość zwykłych obywateli, którzy w imię ochrony siebie gotowi byli nie tylko kłamać, ale na rozkaz postusznie zabijać bardziej od nich uczciwych.

„Jeślibym mógł uczynić to, co zadowoliłoby Jego Miłość Króla, i równocześnie nie obrazić Boga, żaden człowiek nie złożyłby przysięgi z większym zadowoleniem niż ja, jako ten, który czuje się bardziej niż inni zobowiązany wobec Jego Wysokości Króla za jego szczodrość wielokrotnie deklarowaną i okazywaną. Ale pozostając w zgodzie z moim sumieniem, żadną miarą nie mogę tego uczynić; a szukałem nie w sposób powierzchowny wskazówki sumienia w tej sprawie, ale przez wiele lat studiów i wnikliwych dociekań, i jak dotychczas nie znalazłem argumentu – i już go pewnie nie znajdę – który nakłoniłby mnie do zmiany sposobu myślenia; nic na to nie poradzę, gdyż Bóg osaczył mnie tak, że albo muszę Go śmiertelnie obrazić, albo wytrzymać każde doczesne cierpienie, które On dopuści za moje inne grzechy poprzez tę sprawę”¹.

Tak odpowiadał zatroskany Tomasz Morus swej ukochanej córce Małgorzacie, gdy ta któryś raz z rzędu usiłowała nakłonić ojca, by przystał na żądania króla Henryka VIII, który domagał się od wszystkich obywateli królestwa – pod groźbą oskarżenia o zdradę stanu – uznania za ważne jego małżeństwa z Anną Boleyn oraz podpisania tak zwanego aktu supremacji, ustanawiającego króla głową Kościoła w Anglii. Konflikt był trudny i bolesny dla obu stron: zarówno dla Tomasza, który darzył Henryka VIII szczerym szacunkiem i miłością, a za męczeństwem bynajmniej nie tęsknił – jak i dla samego króla, który cenił Tomasza i świadomy był, jak kłopotliwe konsekwencje polityczne wywołać może stracenie męża tak w świecie znanego i poważanego. By zrozumieć istotę tego dramatu, trzeba bodaj w skrócie przypomnieć jego historyczny kontekst.

Rządzący Anglią od 1509 roku król Henryk VIII chciał uchodzić za władcę doskonałego, za pierwszego monarchę Europy. Był nawet czas (w roku 1519), gdy mówiło się o nim jako o następcy zmarłego wówczas cesarza Maksymiliana I, a jego najbliższy współpracownik, arcybiskup Yorku i lord kanclerz Anglii

¹ T. M o r e, *Pisma więzienne*, Poznań 1985, s. 83n.

Tomasz Wolsey dwukrotnie zabiegał o uzyskanie tiary papieskiej. Jeden i drugi plan jednak się nie powiódł. Co więcej: za namową swych doradców król odstąpił od tradycyjnego sojuszu z cesarstwem (przeciw Francji) akurat wtedy, gdy na tronie cesarskim zasiadł Karol V, który stał się panem niemal całej Europy, rozszerzając swe panowanie na Hiszpanię, Burgundię (wraz z Niderlandami) oraz Austrię, wywierając też silny wpływ na Stolicę Świętą. Efektem niefortunnej polityki zagranicznej Henryka VIII były również trudności wewnętrzne (zahamowanie handlu z Niderlandami, zażarty i skuteczny opór społeczeństwa przeciw nowym podatkom). Pozycja Anglii słabła, król tracił popularność, a ponadto nie mógł się doczekać męskiego potomka ze związku małżeńskiego z Katarzyną Aragońską, wdową po jego starszym bracie Arturze.

Król – pragnący usilnie poślubić młodą damę dworu Annę Boleyn – wystosował do Rzymu prośbę o uznanie jego małżeństwa z Katarzyną (na które otrzymał w swoim czasie dyspensę papieską) za nieważne. Jako defensor fidei (który to tytuł został mu przyznany za jego krytykę poglądów Marcina Lutra) liczył na przychylność papieża. Pomysł ten z góry skazany był jednak na niepowodzenie: brakowało podstaw do zakwestionowania ważności związku Henryka z Katarzyną, która w dodatku była ciotką wszechpotężnego cesarza Karola. W tej krytycznej sytuacji król podjął kroki zmierzające do zerwania z Rzymem. Tylko w ten sposób Henryk mógł odzyskać nadwyrężony dotkliwymi porażkami politycznymi autorytet we własnym państwie, drogą konfiskaty mienia kościelnego podreperować królewski budżet oraz umocnić swe panowanie, czyniąc się głową nie tylko państwa ziemskiego, ale i Kościoła w Anglii. Było to tym łatwiejsze, że już w późnym średniowieczu Kościół uzyskał w tym kraju znaczną autonomię wobec Rzymu, zarazem uzależniając się od władzy państwowej. Już w roku 1351 uchwalony został Statute of Provisors zakazujący uiszczania świętopietrza, a w 1353 wszedł w życie Statute of Praemunire, w którym zabroniono wnoszenia apelacji do papieża, a także ogłaszania zarządzeń i klątw papieskich bez zgody króla. Dodajmy do tego rosnącą w społeczeństwie angielskim niechęć do hierarchii kościelnej, w kręgu której szerzyły się bogactwo, pycha i nepotyzm. Za to właśnie wyjątkowo znienawidzony był kardynał Wolsey. Odsunięcie go od władzy w roku 1529 oraz uczynienie – po raz pierwszy w historii Anglii – człowieka świeckiego kanclerzem miało wyraźną antyklerykalną wymowę.

Decyzji Henryka VIII nie można więc traktować jako infantylnej fanaberii podstarzałego autokraty (z Anną Boleyn związał się w wieku 41 lat) zakochanego w atrakcyjnej dwudziestoletniej pannie. Zerwanie z Rzymem miało poważne przesłanki polityczne, dawało nadzieję na rozwiązanie problemów dynastycznych, uporządkowanie spraw gospodarczych, wyraźniejsze określenie pozycji politycznej Królestwa Anglii w świecie. Wprawdzie wiele tych nadziei (na czele z dynastycznymi) się nie spełniło, tego jednak Henryk nie mógł przewidzieć. Dążył do umocnienia państwa poprzez umocnienie władzy kró-

lewskiej – i czynił to z wielką determinacją. Warunkiem powodzenia całego przedsięwzięcia była jednomyślność elity społeczno-politycznej kraju, toteż Henryk z całą surowością występował przeciw tym, którzy nie chcieli poddać się królewskiemu dekretom. W przekonaniu króla był to nie tylko zamach na jego osobisty autorytet, ale akt godzący w żywotne interesy państwa. Z tego względu zasługiwał na miano zdrady stanu i winien być karany śmiercią. Taką właśnie karę przewidywały królewskie sądy dla każdego, kto nie będzie chciał uznać króla za „jedyną i najwyższą głowę na ziemi Kościoła angielskiego”, a także złożyć przysięgi na wierność potomstwu Anny Boleyn.

I tu się zaczyna dramat Tomasza Morusa. Znakomity humanista, kształcony w Oksfordzie i w Londynie, zaprzyjaźniony z najwybitniejszymi umysłami epoki (z Erazmem z Rotterdamu na czele), autor *Utopii*, w której daje wyraz swym zainteresowaniom problematyką społeczną (i formułuje szereg radykalnych, a niekiedy dość kontrowersyjnych poglądów), obywatel ówczesnego świata, niezmiernie miłujący Anglię i jej króla, ale wykraczający daleko ponad wyspiarskie emocje i kompleksy – nie może zgodzić się na szalony pomysł, aby traktować Henryka jako angielskiego papieża. W sprawie rzekomej nieważności małżeństwa z Katarzyną (tak zwana wielka królewska sprawa ciągnęła się przez siedem lat) zwolennicy króla powołują się na opinię teologów z uniwersytetów angielskich (jakżeby inaczej!), a także krajów wówczas z Anglią zaprzyjaźnionych (Francji i północnych Włoch), ale Morus wie, że liczniejsze jeszcze środowiska uniwersyteckie (w południowej Italii, w Niemczech i Hiszpanii) wyraziły opinię przeciwną. Wie przede wszystkim, że prawdy nie ustala się w oparciu o taki konkurs opinii ekspertów, ale w oparciu o argumenty. Tych zaś nie znalazł, choć szukał ich „przez wiele lat studiów i wnikliwych dociekań”².

Za męczeństwem Morus nie tęsknił. Jako wysoki urzędnik państwowy żył raczej dostatnio i umiał się cieszyć urokami tego życia. Delektował się pięknem natury, niekłamana przyjemność sprawiały mu studia, wszystkich zarażał pogodą ducha, potrafił nawet udobruchać swą dość zrzędliwą drugą żonę Alicję Middleton. Prawnikom królewskim bynajmniej nie ułatwiał pracy, wykorzystał swoją znakomitą wiedzę i praktykę prawniczą, uciekając się do różnych kruczków prawnych, które pozwoliłyby mu uchronić życie i jednocześnie uniknąć złożenia przysięgi na wspomniane akty supremacji i matrymonium. Starania jego spełzły jednak na niczym. Król nie mógł pozwolić na otwarty sprzeciw swojego wysokiego urzędnika, do niedawna lorda kanclerza Anglii, tak zresztą, jak nie mógł pozostawić bezkarnym nieposłuszeństwa biskupa Rochester Johna Fishera oraz kilku zakonników.

Tomasz More niewątpliwie zasłużył na to, by wynieść go na ołtarze. Ponieważ był wielkim, a przy tym niezmiernie sympatycznym człowiekiem –

² Tamże, s. 84.

szybko zyskał wśród wiernych dużą popularność. Dlaczego jednak papież Jan Paweł II ogłosił go patronem polityków? Czy dlatego tylko, że pełnił ważne funkcje polityczne? W świetle powszechnie przyjętych standardów kariery politycznej św. Tomasz Morus kariery takiej nie zrobił; przebieg jego życia wskazuje raczej na to, że poniósł porażkę. Owszem, sprawował szereg funkcji w państwie – i to sprawował je, budząc powszechny podziw. Był adwokatem, a następnie posłem do parlamentu. Po krótkim pobycie u kartuzów powrócił do zawodu, do którego przygotowały go studia prawnicze. Był sędzią do spraw cywilnych, kilkakrotnie angażowano go do służby dyplomatycznej, wszedł do rady królewskiej, pracował w tak zwanym Sądzie Ubogich. Nobilitowany przez króla, otrzymał stanowisko podskarbiego, potem sprawował funkcję kanclerza księstwa Lancaster, a wreszcie, jako pierwszy człowiek świecki, został lordem kanclerzem Anglii. To zaszczytne stanowisko piastował jednak zaledwie przez trzy lata. Sam podał się do dymisji – właśnie dlatego, że w sumieniu nie mógł zaakceptować stanowiska Henryka VIII w „wielkiej królewskiej sprawie”. Rychło więc skończyła się kariera polityczna Morusa, a powody, dla których tak się stało, były natury nie tyle politycznej, ile osobistej. Niechętni Morusowi zarzucają mu zbyt skrupulanctwo – a taka cecha politykowi zdecydowanie nie przystoi. Bardziej mu przychylni chwalą go za wierność sumieniu, ale wierność ta – i los, jaki stał się udziałem św. Tomasza Morusa – stanowią raczej wyrzut pod adresem polityków, niż zadany im wzór do naśladowania.

Być może trzeba odróżnić wielkich mężów stanu od małych polityków, których chciałoby się pejoratywnie określić politykierami. Politykierzy uprawiają grę obliczoną na to, by jak najdłużej utrzymać się przy władzy. Będą szukać gestów i słów, które przysporzą im popularności, przekładanej następnie na głosy wyborcze i polityczne etaty. Będą unikać podejmowania decyzji może i słusznych, ale niepopularnych. Strzec się będą zbyt jednoznacznych deklaracji, z których trzeba się przecież kiedyś rozliczyć. Będą dbali o swój medialny wizerunek, przed kolejnymi wyborami zdecydują się na jakiś spektakularny gest, który przypomni wyborcom o ich istnieniu, będą szukali wpływowym osób i instytucji, bardziej lub mniej wyraźnie oferując swoje usługi w zamian za poparcie wyborcze.

Taki obraz politykiera jest przez swą skrótowość nieco przejawskrawiony. Dlatego że jest nieco prymitywny i cyniczny zarazem, jest jednocześnie wygodny; dzięki temu każdy z nas może powiedzieć: „Aż taki przecież nie jestem”. Nie mam jednak poczucia, że malując taki wizerunek, daję upust czerzej fantazji; myślę raczej, że w wymienionych tu pokusach, którym polityk łatwo może ulec (każda profesja ma sobie właściwe słabości i wady), upatrywać można jedno ze źródeł niechęci, z jaką wielu ludzi odnosi się do świata polityki. Antytezą politykierów są wielcy mężowie stanu, którzy – rzecz zastanawiająca – nader często kończą swoje żywoty tragicznie. Mahatma Gandhi zginął z rąk Hindusa, przedstawiciela tych, których poprawie losu poświęcił swoje życie. M. L. King,

a także J. F. Kennedy zapłacili podobną cenę za stanowcze przeciwstawianie się niesprawiedliwości społecznej i rasizmowi.

A czyż mało mamy przykładów wielkich mężów stanu w dziejach naszego narodu i państwa? Pochód tych, którzy nie wahali się sprzeciwić władcom w imię respektu dla prawa moralnego, otwiera św. Stanisław ze Szczepanowa, biskup krakowski, męczennik. Współcześnie do szeregu tego słusznie włączamy księdza prymasa Stefana Wyszyńskiego, który nie mógł przewidzieć, jaki będzie dalszy jego los, gdy wypowiedział swe głośnie i stanowcze „Non possumus!”. Nie sposób nie wspomnieć o zamachu w dniu 13 maja 1980 roku, u progu piotrowego posługiwania Papieża, który już w pierwszej swej encyklice dopominał się o respektowanie świętych praw człowieka, deptanych przez rozliczne i w owym czasie jawnie działające systemy totalitarnej przemocy.

Wielkość tych mężów wyrażała się w tym właśnie, że potrafili się przeciwstawić możnym tego świata – w imię człowieka, którym możni ci chcieli zawładnąć niczym swoją własnością; w imię Boga, w którego domenę bez skrupułów wchodzili. Nie za obronę interesów Kościoła bowiem ginęli święci Stanisław Szczepanowski i Tomasz Morus, a wysoką cenę płacili Stefan kardynał Wyszyński i papież Jan Paweł II. Bronili oni tego, który jest „pierwszą i podstawową drogą Kościoła”³ i który winien być pierwszą drogą wszelkich systemów polityczno-ekonomicznych, wszystkich rządzących. Powzięta przez Morusa rezygnacja z urzędu kanclerza rzeczywiście była aktem oskarżenia kierowanym pod adresem króla i tych, którzy go koniunkturalnie wspierali; był to protest najłagodniejszy z możliwych, autentycznie non violence – ale był to protest przeciwko systemowi, w którym człowiek pragnący zachować uczciwość nie znajduje dla siebie miejsca. Podjął go ten człowiek, który wystarczająco dowiódł swego oddania królowi i Anglii, a także swej niezrównanej umiejętności podołania trudnym obowiązkom kanclerza, a dowiódł wystarczająco, aby nie być posądzonym o ukryte przewrotne intencje. Właśnie dlatego protest ten był tak silny. Ogromna była też moc przekonująca kardynalskiego „Non possumus!”, która płynęła z uprzedniej szczerej i wręcz ryzykownej próby znalezienia ugody z komunistyczną władzą tak daleko, jak to tylko było możliwe. Łatwo jest od początku okopać się w twierdzy sprzeciwów, zarzutów i roszczeń, których rola polega w gruncie rzeczy na tym, by zasłaniały niechęć do podjęcia konstruktywnych rozmów i działań. Trudniej jest natomiast szukać, nieustępliwie i roztropnie, porozumienia zwaśnionych stron, dróg przewycięzania ludzkich słabości i tak zwanych obiektywnych trudności – rozumiejąc zarazem, których barier naruszyć nie wolno, bo ich przekroczenie oznacza zdradę człowieka. Święty Tomasz Morus bronił nie tylko prawa własnego sumienia, bronił pierwszeństwa prawa sumienia przed prawem stanowionym, przed prawem władcy. Gdyby nawet Henrykowi znakomicie powiodły się plany matrymonial-

³ J a n P a w e ł II, Encyklika *Redemptor hominis*, nr 14.

ne, ekonomiczne oraz polityczne i gdyby jedyną drogą do tych sukcesów było zerwanie z Rzymem, to nadal zmuszanie kogokolwiek, pod groźbą surowej kary lub mamieniem atrakcyjną nagrodą, do aktu wypowiedzi niezgodnej z własnym przekonaniem (czyli z własnym sumieniem) byłoby politycznym ciężkim grzechem. Jeśli drogą nie tylko Kościoła, ale każdej władzy jest człowiek i jeśli człowiek tym się wyróżnia w świecie stworzeń, że zdolny jest w rozumny i wolny sposób stanowić o sobie, to przymuszanie go do wypowiedzi niezgodnych z sumieniem jest próbą przetrącenia mu moralnego kręgosłupa. Mamy prawo się chlubić – my, Polacy – postawą króla Zygmunta Augusta, który na wieść o pokoju augsburskim i zawartej tam w 1555 roku umowie „*cuius regio, eius religio*”, miał zakrzyknąć: „Czyż jestem królem ludzkich sumień?!”. Mamy prawo być dumni z tego, co dokonało się w Lublinie czternaście lat później, ponieważ Unia Lubelska to wyraz szlachetnego przekonania, że mogą razem żyć i stanowić jedną Rzeczpospolitą ludzie różnych narodowości i różnych przekonań religijnych. Ta tradycja zobowiązuje.

Dodajmy: nie tylko totalitarna władza miewa zakusy, by człowieka odwieść od wierności własnemu sumieniu. Bywa, że sam człowiek woli udawać, że nie widzi prawdy, która wydaje mu się zbyt trudna. Korzysta wówczas ze swej wolności i wykorzystuje mechanizmy demokratyczne dla przeprowadzenia swych zamysłów raczej „siłą głosowania” niż siłą argumentów. Cóż ma wtedy czynić polityk, który „niechcianą” społecznie prawdę widzi lepiej niż przeciętny obywatel, lepiej też dostrzega nieuczciwość wielu, którzy udają, że nie widzą, by było im żyć wygodniej? Co ma czynić? Ależ to się zdarza stale! Polityk wybierany jest przez tych, którzy ufają, że jest on ponadprzeciętnie obeznany w sprawach społecznych, lepiej więc widzi, co naprawdę służy człowiekowi i jego rozwojowi. Ta jego ponadprzeciętna wiedza, zdolności i doświadczenie skazują go na konflikt nierzadko z własnymi wzorcami, ale przede wszystkim z tymi, których oczekiwania są niesprawiedliwe lub nierealne. Niekiedy konflikt ten doprowadza do śmierci polityka. W taki właśnie sposób zginął Gandhi, który nie chciał się zgodzić na rozłam między wyznawcami islamu i hinduizmu. Cały swój autorytet poświęcił on temu, by zachować na Półwyspie Indyjskim „Rzeczpospolitą obojga narodów”. Gandhi przegrał: podział nastąpił, a on sam zginął. Nie znaczy to jednak, że Indie i Pakistan wygrały, gdyż do dziś niszczy je wzajemna nienawiść, a groźnym politykiem jest ten, kto – grając na łatwych emocjach – nienawiść tę podsycy.

Czy odbiegliśmy od tematu Morusa? Czy nie jest on już patronem takich polityków jak Gandhi? Ależ cały jego piętnastomiesięczny pobyt w londyńskim więzieniu Tower to okres sporów: nie z królem, lecz z domownikami z jednej strony (przede wszystkim z ukochaną Maggie), a z wysokimi urzędnikami państwowymi z drugiej. Dla nich Tomasz pozostawał solą w oku, uporczywym wyrzutem sumienia. Nie nakazywał im powstrzymać się od przysięgi, której sam nie składał, nie osądzał ich. Kto wie, czy nie łatwiej by im było, gdyby

Morus wprost wyrzucał im zakłamanie. Relacje z rozpraw zapisane przez zięcia Morusa Williama Ropera w jego *Żywocie Tomasza More'a*, a także niektóre listy samego świętego zdają się świadczyć o tym, iż jego rozmówców w szczególne zakłopotanie wprawiało to, że Morus cierpliwie i precyzyjnie wypowiadał swoje racje – deklarując zarazem, że ufa ich szczerości, i pozostawiając im swobodę pójścia za tymi argumentami, które oni sami uznają za przekonujące. Argumentów tych jednak nie było.

Świadekstwo św. Tomasza Morusa adresowane jest więc nie tylko do tych, którzy chcą być królami ludzkich sumień. Morus obnażał – kto wie, czy nie dotkliwiej – małość zwykłych obywateli, którzy w imię ochrony siebie gotowi byli nie tylko kłamać, ale na rozkaz posłusznie zabijać bardziej od nich uczciwych. To nie przypadek przecież, że Hanna Malewska zaraz po opowiadaniu zatytułowanym *Sir Tomasz More odmawia* zamieszcza kolejne, dłuższe i bodaj bardziej przejmujące: *Koniec Cranmera*; tego Cranmera, który posłusznie realizował zamysły Henryka, a którego gwałtowna śmierć z ręki króla także nie ominęła⁴.

Św. Tomasz jest więc wielkim politykiem, bo w jego ustach prawda i sprawiedliwość to nie są puste słowa. Wie on, co oznacza poszanowanie władzy i prawdziwa lojalność, potrafi jednak odróżnić to, co ludzkie, od tego, co boskie; to, co podlega władzy świeckiej, od tego, co stanowi sanktuarium człowieka, niedostępne żadnemu władcy. Jak podkreśla papież Jan Paweł II w wydanym niemal rok temu liście ogłaszającym św. Tomasza Morusa patronem rządzących i polityków, „wyróżniał się [on] niezłomną wiernością prawowitym władzom i instytucjom właśnie dlatego, że pragnął w ten sposób służyć nie władzy, ale najwyższemu ideałowi sprawiedliwości. [...] Mając tak mocny fundament moralny, angielski mąż stanu swą działalnością służył człowiekowi, zwłaszcza słabemu i ubogiemu”⁵.

Wśród licznych cnót i zalet Morusa Papież podkreśla też jego „pokorę wspartą pogodnym i żartobliwym usposobieniem”⁶. Wiele anegdot wiąże się z postacią Świętego, traktujemy je też czasem jako sympatyczne przybliżenie postaci, która bez tego byłaby zbyt monumentalna i niedostępna. Sądzę jednak, że Morusowe poczucie humoru nie jest dodatkiem do jego wizerunku polityka, ale integralną częścią tego wizerunku. Morus nie przestaje być człowiekiem, będąc politykiem i piastując wysokie funkcje, a jest to sztuka, której nie udało się opanować ani jego poprzednikowi na stanowisku kanclerza królestwa, ani jego następcy. Nie przestaje być ludzki i zwykły w obliczu zbliżającej się śmierci; jego ostatni list do córki Małgorzaty Roper pełen jest imion najbliższej

⁴ Zob. H. Malewska, *Sir Tomasz More odmawia*, Warszawa 1956.

⁵ Jan Paweł II, *List apostolski „motu proprio” o ogłoszeniu św. Tomasza Morusa Patronem rządzących i polityków*, „L'Osservatore Romano” wyd. pol. 22(2001) nr 1, s. 11.

⁶ Tamże.

rodziny, które wymienia kolejno, zawsze ciepło i zawsze z jakimś indywidualnym akcentem. Jest to list niedokończony, pisany kawałkiem węgla drzewnego. I w tych najbardziej ludzkich momentach Morus zdaje się szczególnie wielki. Ten ciepły uśmiech, szacunek i serdeczność wobec rozmówcy obecne są we wszystkich jego żartobliwych wypowiedziach. Nie sposób bodaj dwóch z nich na koniec nie przypomnieć, choć trudno powiedzieć, ile w tych wypowiedziach jest żartu, a ile głębokiej powagi. Oto oznajmili Morusowi, że z łaski króla wyrok ćwiartowania zamieniono mu na zwykłe ścięcie. Tomasz podziękował grzecznie i dodał: „Wolałbym jednak, żeby tego rodzaju łaski nie spływały na moich przyjaciół”⁷. Kiedy zaś szedł już na ścięcie po stopniach szafotu, który – jak relacjonuje William Roper – „był tak chwiejny, że rozpadał się prawie – rzekł do Porucznika: «Proszę cię, panie Poruczniku, pomóż mi wejść na górę, z powrotem poradzę sobie sam»”⁸.

Święty Tomasz More: wielki człowiek i wielki polityk. Wielki polityk, bo wielki człowiek. Wielki święty, bo prawdziwie i do głębi człowiek.

⁷ M a l e w s k a, dz. cyt., s. 43.

⁸ M o r e, dz. cyt., s. 65.